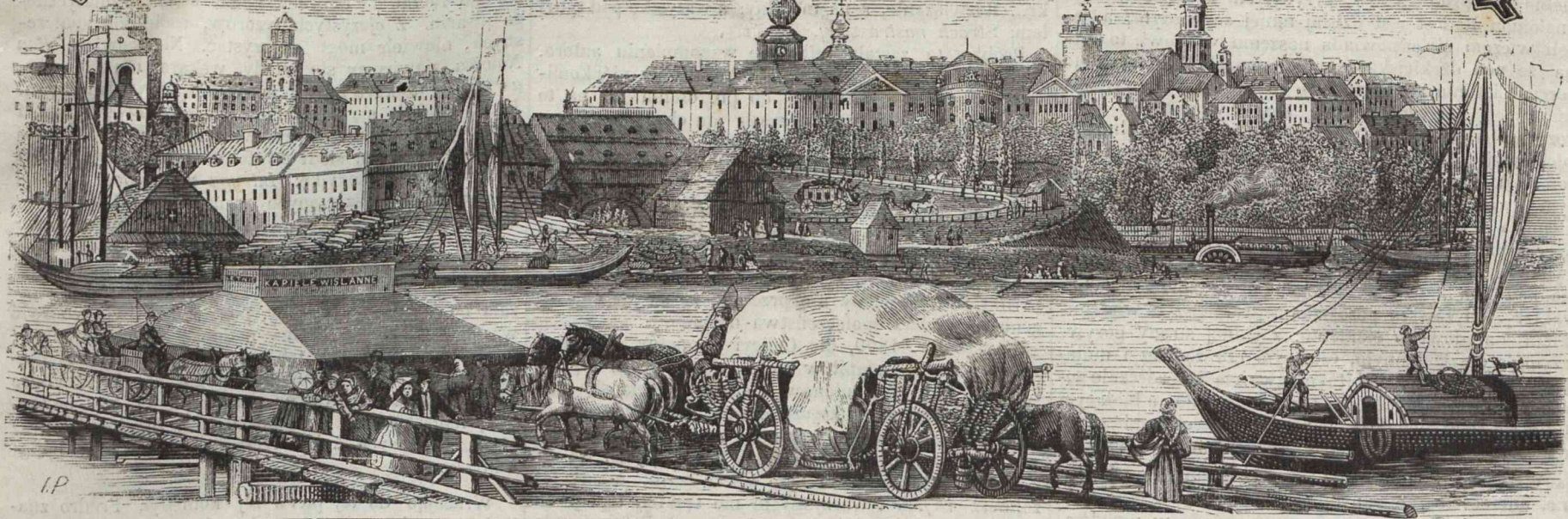


# TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 119.

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 671 pół.

Warszawa, 4 stycznia 1862 r.

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:*  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwart  
Koperta oddzielna 2 rsr. roczni

TOM V.

## TREŚĆ NUMERU.

Aleksander Fredro (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Kaźmierz Jaksza Komornicki (z drzeworytem). — Czorsztyn (z drzeworytem). — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Sobótka (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Kronika sztuk pięknych. — Towarzystwo kredytowe miejskie. — Czy tak będzie? (poezya). — Korrespondencya od redakcyi. — Sprostowania.

## Aleksander Fredro.

Zmiana czasów, ludzi i ich wyobrażeń, zazwyczaj wiele przynosi uszczerbku tworam dramatycznym, a szczególnie komedjom; te bowiem, będąc odbiciem swojej chwili, prędzej później starzeją się. Uwaga ta dosięga wszakże tylko plodów posledniejszej wartosci, a bynajmniej nie stosuje się do tych wyborowych kreacyj, którym lata nie szkodzą; bo chociaż w nich spotykamy liczne archaizmy wyobrażeń, obyczajów, charakterów, to mimo tego głębokie prawdy serca ludzkiego, zdrowa filozofia życia, stanowiąca główną wartość takich utworów, nie starzeją się nigdy, jak się nie starzeje Aristofanes, Plaut, Moliere.

Uwagę tę możnaby już, choć w części, zastosować do komedyj Aleksandra Fredry. Od lat czterdziestu utrzymują się na naszej scenie i zawsze są z upodobaniem widziane, chociaż przedewszystkiem malują okres który dla nas przeminał, okres księstwa warszawskiego. Koloryt, rysy charakterystyczne, obyczaje, wszystko to wydaje się jak odległe przypomnienie, a nie jak otaczająca nas rzeczywistość. Szata znoszona, wnętrze tylko człowieka to samo; tajemnice natury naszej, najdelikatniejsze poruszenia namiętności, schwycone na uczynku i odmalowane z całą prawdą życia: oto niestarzejący się przymiot dramatycznych utworów Fredry. Drugi przymiot, stanowiący jego oryginalność, tkwi w umiejętności tworzenia postaci i charakterów skupiających wszystkie rozpięzchnione rysy swojego czasu. Doskonałość tych kreacyj szczególnie w tém się objawia, że żyją, że je każdy zna lub pamięta, jakby osoby widziane w towarzystwie. Taki Geldhab, Radost, cześnik, regent, Jowialski, Łatka, wszystko to dobrzy znajomi, którzy weszli i skryształizowali się niejako w wyobraźni narodu, gdy nowsi nasi pisarze komedyj pochłubić się nie mogą, aby ich kreacje używały tego przywileju.

Gdyby nie innego, to już ten wymowny fakt, tak do zaprzeczenia trudny, dawałby Fredrze nader wysokie stanowisko w literaturze współczesnej; i w rzeczy samej, ma je sobie przyznane, tylko nie w sądach doraznych naszych historyografów literatury ojczystej, trzymających się na ślepo raz wyrzeczonego zdania przez namiętną krytykę, której wcale szło o co innego, jak o bezstronne i trafne ocenienie sztuk Fredry. To pewna, że niewłaściwe uderzenie nań w Pa-

miętniku Naukowym krakowskim w r. 1835, nietylko niczego nas nie nauczyło, ale doprowadziło do tego, że Fredro przestał się udzielać za pośrednictwem sceny. Świat jednak wie że pióra nie złożył, jak go nie złożył ojciec francuzkiej tragedyi, gdy na krzywdzące zarzuty Scuderego, pierwszy manuskrypt Cyda rzucił był w ogień.

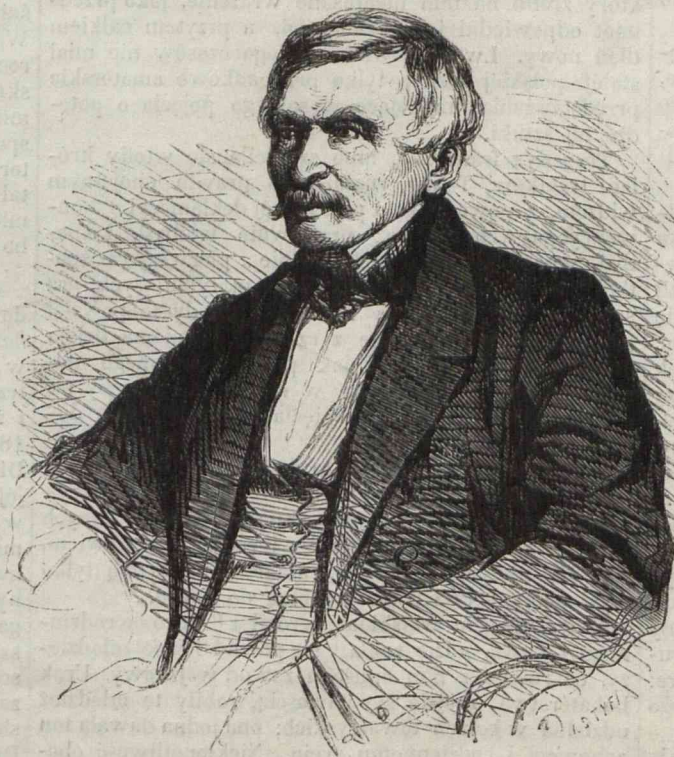
Tymczasem komedye Fredry, przedtém dane na scenę, utrzymują się na niej, przeszedłszy na własność stołecznych i prowincjonalnych repertoarów. Publicz-

nie może ich brać w każdym usposobieniu, ani pod wpływem najsprzeczniejszych wrażeń, jakeimi umysł nasz bywa miotany. Twory pióra, jak twory pędzla, ażeby dały się dobrze zrozumieć i osądzić, potrzebują nietylko stać we właściwem świetle, ale wymagają pewnego wtajemniczenia się w życie, w namiętność władnącą malarzem, w chwili gdy swój obraz malował.

Jak pojmował Fredro otaczającą go społeczność, tłumaczą same jego komedye. Należąc do epoki organicznej, nie z miejsca nie rusza, i to mu daje zupełną swobodę obserwacyi, to mu pozwala tworzyć własne stawiać na nogi i poruszać niemi na polu akcyi, nienapotykejacej tych przeszkód i wątpliwości, jakie stawiają sobie bohaterowie dzisiejszych sztuk w obec zagadek socyalnych. Ztąd niema u niego szyderstw z teraźniejszości, na karb jakiej niewcielonej idei lub teoryi społecznej; znawca świata, wie on że biedna ludzkość, zmieniając się i przeobrażając, zmienia tylko krój swoich śmiešnostek. Skończony dramatyk nie lubi hamować działania, wiedząc że bez niego niema dramatu; dlatego też nie powierza się młodym ideologom, rozprawiającym tak pięknie, lecz za to niemającym ruchu, ani prawdy życia. Tak akcyja, jak charaktery, wszystko u niego zupełne, docierające do swego celu, który tak jest rzeczywisty, jak i one.

Po wojnach napoleońskich, co poruszyły rzesze z zachodu na wschód, z południa na północ, co zmieniały egzystencyą polityczną państw, nastąpiła kilkonastoletnia cisza, w ciągu której wszystko zdawało się wchodzić w dawne karby organiczne. Moment ten nader był przyjazny dla dramatycznego pisarza. Przenosząc uwagę z wielkich scen życia, gdzie się rozstrzygały losy świata, na otaczające go społeczeństwo, przynosił miarę porównania, a nadewszystko tę bezstronność artysty i światowego człowieka, co jeśli upatrzył strony ujemne, umiał wynaleźć i dodatnie, a wszystko oddać barwami prawdy wystudowanej *con amore*. Owe wypoczynki po burzach, a zwłaszcza takie, w których panuje pewne zadowolenie z obecnego stanu, bywają nader pomysłne dla dramatu. Ustalone stosunki pod rękami Elżbiety, zrodziły Szekspirowski dramat; następne domowe rozterki podały go na półtorowieczne zapomnienie. Cała nasza literatura dramatyczna, do czasu Fredry, ma tylko imiona, puste tytuły, — od niego stała się rzeczywistością. Pierwszy on umiał nie z książek, lecz żywcem brać rysy ze społeczeństwa; pierwszy umiał obserwować nie po wierzchu, lecz do dna duszy, pierwszy kształtować postacie oryginalne, jakich nam nikt nie może odebrać, tak są głęboko wzięte z życia narodu.

Powie kto może, że komedye Fredry, należące do pewnego okresu, będą dla naszego, jak historyczne



ALEKSANDER FREDRO. (Rysował Łuszczykiewicz w Krakowie).

ność je lubi i czerpie z nich myśl wesolą, zupełnie jak kiedy się jest w towarzystwie przyjemnego, wesołego i dowcipnego człowieka, który zna świat, zna ludzi, umie odkrywać ich strony śmiešne, żartować z nich, nie wymieniając jednak nikogo po nazwisku, ani też wytykając palcem w sposób krzywdzący. Jest to malarz, a nie fotograf; bystry obserwator, a nie satyryk; a nadewszystko talent dramatyczny czystej próby, jakiego przed nim ani po nim nie było.

Kto chce bezinteresownie oceniać komedye Fredry,

*curiosum*, że takich Geldhabów, Radostów, Jowialskich, Łatków, ciotni, cześników, regentów już niema. Zapewne, niektórych rysów składających się na ich oryginalność nie spotkamy tak łatwo pośród nas; lecz naturę ich ludzką spotkamy zawsze.

Czyż Geldhab, przestawszy być liverantem, nie może już spekulować i panoszyć się cudzą pracą i dla ozdoby swego domu sięgać po mitrę dla córki, a dla siebie po protoplastów przybyłych z Lechem? Czyż angelman Radost jest dzisiaj mniej śmiesznym? a jeżeli w czem nie odpowiada naszemu wiekowi, to chyba że pod dzokiejską kurtką przestało bić tak złote serce. Ciotunia zestarzała się, to prawda, ale zamiast miłosnych korespondencyj, mogłaby pokazać stopy rozpraw o powołaniu, przeznaczeniu, usamowolnieniu płci swojej. Dworak Lisiewicz, Łatka lichwiarz, z małemi odmianami, ciż sami i na dziś. Jowialski, z całym swoim domem, jeden tylko zapadł się w głębi ziemi, a z nim zniknął dobry humor staropolski, niewyczerpany w anegdotki, bajeczki, przysłowia, którym jak mógł oganiał się od ducha czasu nurtującego pod nim... Cześnik i regent, dwa sprzeczne charaktery, na zawsze pozostaną najtrafniejszym wizerunkiem narodowego elementu: z jednej strony porywczym lecz szlachetnym, czującym obrazę lecz i umiającym przebaczać, ambitnym otwarciem i serdecznie gościnnym; z drugiej kłótlwym, pieniackim, a lubiącym tulić się pod płaszczki pokory i miłości publicznego dobra, będącej częstokroć miłością samego siebie.

Wszystkie te postacie nie są bynajmniej wymarzone, ani ofotografowane; poeta znalazł je w mnóstwie rozproszonych rysów, co i sam powiada w przedmowie: „Śmieszności chwytają się umysłu uważającego, jak się chwytają przechodnia pajęczyna na polu rozpoczyna; i może on potem wiedzieć z kąd którą nitkę zaczął: z róży, czy pokrzywy?” I dziś niejedną zbiera takie pajęczyny, ale najczęściej przyczepi je do jakiejś konwencyonalnej figury, kiedy Fredro odlewał z tych różnych cząstek jednolite posągi, i dawał im życie i ruchy tak prawdziwe, że każdy znalazł w nich zupełne podobieństwo do kogoś, tylko nie umiał wskazać tego ktosia.

Tym to nieocenionym darem twórczości niebo hojnie ubogaciło Fredrę, równie jak darem obserwacji, który kazał mu pierwój czytać w otwartej księdze świata, niż w drukowanych księgach. Pierwsza dała mu wszystko co ma najlepszego w swych dziełach; drugi dostarczył narzędzia do artystycznego wykonania pomysłów, w czem jednak niezawsze był szczęśliwy, zwłaszcza gdy uległ pewnym teoryom i wpływom literatury niemieckiej swojego czasu, co aż do znudzenia lubiła liryzmem szafować.

Z niewielu szczegółów życia Fredry, mających związek z jego autorskim zawodem, przekonać się łatwo, jak bogatym talentem dramatycznym obdarzyła go natura, a jak nie dokoła siebie nie znalazł, aby dopomógł rozwinięciu się tego daru. Instynkt i przypadkowość były jedyną jego szkołą.

Ziemia przemyska, gniazdowa siedziba domu Fredrów, która wydała znamienitego historyka, polityka i moralistę Andrzeja Maksymiliana kasztelana lwowskiego, była kolebką naszego komedypisarza. Urodził się około r. 1793 i do szesnastu lat życia uczył się w domu, ówczesnym trybem szkolnym austriackim, najnieposobniejszym do rozwinięcia jakiegokolwiek wrodzonego talentu. Niedziw że do wyższych rzeczy przeznaczony uczeń, nie okazywał uderzających zdolności, nie dlatego iżby te nie leżały w jego duszy, lecz że nauki szkolne wymagały przedewszystkiem i tylko pamięci, a on jej właśnie nie miał. Usposobienie jego ciche, spokojne, niemal poważne, umysł więc do smętnych dumań, niż do pustoty skłonny, nie tylko nie rokowały w nim przyszłego pisarza komedii, co miała kiedyś być jedyną wyobraźnielką staropolskiego humoru i jowializmu, ale owszem zyskiwały mu w rodzinnym gronie przydomków młodego starszaka. Kontrast ten uważano i w charakterze Moliera; Regnard tylko był tak pustym i hulaszczym, jak jego komedye.

Co sobie marzył poważny i małomówny chłopczyk, nikt się nie domyślał, a jednak objawiło się w nim coś, co miało później stać się jego chwałą. Dar przyrodzony, nieraz jak źródło żywej wody, wytryska w miejscu gdzie się najmniej spodziewasz. Dwunastoletniego chłopca, ni ztąd ni z owad, tknęła jakaś myśl: pochwyć kilka kart białego papieru i zaczął pisać komedya. Plan i wykonanie były dziełem jednej chwili natchnienia.

Dzień niedzielny, państwa niema w domu, pojechali na nabożeństwo; zostały same dzieci i nudzą się na śmierć, bo zapomniano im dać rodzenków i migdałów na bankiet, którego przyrządzenie należy do najmilszych zabaw tego wieku. Cóż radzić na te

nudy? Michał lokaj, przebiegły i łakomy, ofiaruje się wyprowadzić dziatwę z przykrego położenia, i wpada na koncept ubrać się w prześcieradło, i udając ducha, straszyc starą klucznice.

Przestraszona klucznica oddaje klucze i chowa się... Michał tymczasem, gospodarując w spiżarni, chwytą co może i pakuje do kieszeni, pamiętając więcej o sobie niż o dzieciach. Aż wtém nadjeżdżają państwo; duch złapany na gorącym uczynku, chowa się w makę... Rozwiązanie, sens moralny, a wszystko pod tytułem: *Strach nastraszonej*.

Próbka ta została tylko we wspomnieniu autora. Z samej treści widać że nie brakowało w niej komicznej werwy, a i odwagi do puszczenia się na to pole, gdyż w jakimś czasie przyszła mu chęć pisać historyczny dramat większego rozmiaru, wzięty z opowiadań jego nauczyciela, który służył w wojsku pod generałem Jasińskim...

Z tych mglistych wspomnień, można już odgadnąć przyszły jego kierunek: w pierwszjej próbie chwytą najbliższą dziecięciu rzeczywistość, w drugiej sięga po historyczny fakt, żyjący w duszy narodu.

Nikt jednak wtedy nie przeczuł, że się już objawił genialny malarz społeczeństwa naszego.

Nadszedł r. 1809, dla Galicyi pamiętny. Młodzian szesnastoletni wstąpił w szeregi formującego się we Lwowie 44 pułku ułanów, i odtąd zaczęła się dlań szkoła świata, najpraktyczniejsza, najbardziej urozmaicona i najponętniejsza zarazem ze wszystkich szkół w jakich uczymy się znajomości ludzi i życia. Na obcowanie z muzami nie było wiele czasu; młody też żołnierz za ich towarzystwem nie tęsknił, lecz jeżeli czasami zdarzyła się jaka pocieszna okoliczność, nie mógł się wstrzymać żeby o niej nie zaimprovizować. Tym sposobem w roku 1810 o przygodzie zdarzonej między kolegami napisał wierszyk, który biegając z rąk do rąk, zyskał w całym pułku pochwały; jeden tylko z swiatlejszych kolegów zrobił mu uwagę, że w wielu wierszach nie było średniówki. „Średniówki? zapytał zdziwiony poeta, nigdy o niej nie słyzałem!” Ztego wywiązało się tłumaczenie, które było dlań pierwszą lekcją prawideł rymotwórstwa polskiego.

Wypadki pechneły niebawem wojsko księstwa warszawskiego na północ. Fredro odbył tę okropną kampanią szczęśliwiej niż wielu innych, bo się dostał do niewoli, z której wydobywszy się w pół roku, złączył się ze swoimi w czasie zawieszenia broni w Dreźnie.

Z rejterującym, a staczającym krwawe bitwy Napoleonem, doszedł do Paryża. Przydłuższemu pobytowi w tej stolicy winien poznanie teatru francuzkiego, który zrobił na nim nieopisane wrażenie, jako przedmiot odpowiedni jego skłonności, a przytém całkiem dlań nowy. Lwów bowiem za jego czasów nie miał stałej polskiej sceny, tylko przypadkowe amatorskie przedstawienia, niedające wysokiego pojęcia o potędze tej sztuki.

Tragedya francuzka, lubo szczyła się wtedy królem tragików, Talmą, znalazła go prawie obojętnym widzem, z powodu zbyt przesadnej deklamacji i konwencyonalnych ruchów; przeciwnie wodził, komedya, wprawiła go w zachwycenie... pierwszemu raz spotkał tam skończonych artystów, utrzymujących grą samą najluchszą nieraz ramoty, i wtedy to powziął przekonanie, wzmocnione z czasem, że niema dzieła dramatycznego, choćby jak przeprowadzonego mistrzowsko i wykonanego w częściach, któreby się obeszło bez dalszego rozwinięcia i uwydatnienia dobrą grą aktorów.

Jak niezaprzeczoną jest ta prawda, dowód mamy na jego własnych komedjach, które chyba w przyszłości doczekają się kiedyś aktorów, co by z danych myśli potrafili stworzyć czyn, czyli rolę. Dotąd bowiem, z nader małym wyjątkiem, aktorowie recytują tylko myśl poety, lecz się nie wznoszą do czynu...

Z wracającym wojskiem, wrócił i Fredro do rodzinnego Lwowa, gdzie znalazł się pośród licznjej młodzieży, co równo z nim opuściła zawód wojskowy. Urok bohaterstwa, zajęcie się nowością, robiły tę młodzież udzielną w kołach towarzyskich; ona jedna dawała ton zabawom i codziennemu życiu. Niekłopotliwość obozowa, lekkomyślność garnizonu, z łatwością otrzymały obywatelstwo, tém bardziej, gdy znalazły grunt przysposobiony, na którym oddawna nie pozostało ani ziarnko umysłowych zajęć, poważnych dążeń, szlachetnych oddziaływań przeciw nicości ducha, a natomiast w najlepsze krzewiło się niefrasobliwe próźniactwo, podtrzymywane marnotrawstwem, grą i zalotnością, jak to wszędzie bywa gdzie, życie płynie bez celu...

Spółcześnie z taką fizyognomią, musiało obudzić komiczną zylkę w Fredrze; czuł zapewne potrzebę poprawy tego świata przez ukazanie mu jego śmieszności, lecz nie śmiał jeszcze chwycić za pióro, nie mając objawienia autorskiego zawodu...

Dopiero później szczęśliwy traf przyprowadził mu Żyda antykwaryusza, co chodząc po domach z książkami, jemu przyniósł Moliera. Fredro zapłacił dukat, a zabrał arcydzieła, dotąd mu prawie obce, bo jednego tylko Amfitryona miał sposobność widzieć na scenie paryzkiej.

Z przewodnikiem tak wyborynym jak Molierowskie komedye, wyraźniej narysowało się jego powołanie, i odtąd zaczął na dobre kształcić się na dramatycznego pisarza. Z ojczystych wzorów, osobliwie społecznych, niewiele mógł skorzystać. Niemcewicza *Pan Nowina*, zjawiwszy się wtedy, wskazał mu tylko czego trzeba unikać, żeby nie być pospolitym i nudnym. Jakoż obudziła się w nim chęć współzawodnictwa, i pewnego razu, bez przygotowanych studyów, prawie bez namysłu, siadł do stolika i napisał wierszem jednoaktową komedijkę: *Intryga na przedce*, z której to później w rozszerzonych ramach zrobił się *Nowy Donkiszot*, pochwycony w lot przez stroniczną a porywczą krytykę, z pominięciem najlepszych utworów Fredry, niewiezanych nawet na świadków w tym doraźnym procesie. Publiczność mało wprawdzie zważała na wyrok potępiający, boć trudno było wmówić w nią że komedye Fredry podobać się nie powinny; dali się tylko ulowić tak zwani registratorowie literatury, co nie mając nigdy swego, chwytają cudze zdanie, rzadko wytrawne i uzasadnione, lecz najczęściej najjaskrawsze i najhałasliwsze, zupełnie jak prostacy, u których kolor czerwony uchodzi za najładniejszy.

Wracając do tej pierwszjej komedii, Fredro znalazł się w kłopotliwym położeniu; nie miał bowiem nikogo, komuby mógł z zaufaniem plód swój przeczytać i rady zasięgnąć. Nie pozostało mu nic innego, tylko przez trzecią osobę posłać komedya Nepomucynowi Kamińskiemu, jedynemu znawcy i doświadczonemu praktykowi. Kamiński pochwalił i zrobił uwagę, że jest w niej jakiś plan i świeżość, co jej dawało wyższość nad innemi współczesnemi plodami. Komedya była graną, nikt o niej ani źle ani dobrze nie wspominał, i autor odebrał ją do poprawy, aby już nigdy nie wróciła na scenę.

Próbował jeszcze sił swoich w dwóch małych sztukach, lecz te, doznawszy jakichś przeszkód, poszły w zapomnienie.

Pierwiastki muzy często ten los spotyka; serce ojcowskie poboleje przez chwilę, tylko świat bynajmniej nie czuje tej straty.

Rok 1819 jest rokiem urodzenia się *Geldhaba*. Właśnie gdy tę komedya napisał, wypadła mu droga do Warszawy. Literaci stolicy tej uchodzili wtedy za wyroczniego dobrego smaku; zabrał więc ze sobą manuskrypt i z wielką nieśmiałością przedstawił go jednemu z ówczesnych Arystarchów, który zerknawszy na spory zeszyt, zawyrokował, że wszystkim młodym autorom daje jedną radę: skracać; potem urywkami czytał dni kilka, nareszcie zadecydował, że są dobre miejsca, ale lepiej byłoby przedstawiać we Lwowie, bo Warszawa nie zna takich Geldhabów.

Sama ta odpowiedź była wyborynym materiałem do komedii. Szczęściem Osiński wziął w opiekę *Geldhaba*, i był przedstawiony na scenie warszawskiej w r. 1821. W następnych trzech latach grano tam trzy nowe jego komedye: *Zrzedność i przekora*, *Mąż i żona*, *Cudzoziemczyni*. We Lwowie dopiero w r. 1824 czy 25, dostały się one pierwszemu raz na scenę. Dlaczego autor nie dał pierwszeństwa miastu swojej prowincji, miało może przyczynę wytłumaczoną w przedmowie do wiedeńskiej edycji jego sztuk, gdzie mówi: „Największym dobrem dla sławy autora dramatycznego jest,—już nieżyć; największym zaś złem, być znanym osobiscie, zwłaszcza w miejscu gdzie jego sztuki przedstawiane bywają. Jedni, radzi cudzej szkody, szukają koniecznie wzorów tego co widzą na scenie, w towarzystwie otaczającym autora. Autorem zasłonięci, szczypią, szarpiają do woli, i kiedy najmniej się spodziewa, ściągają na niego najboleśniejsze razy. Druzy się tylko, jak próżne dzwony, głupich wniosków rozglosem.”

Komedye Fredry od r. 1826 do 1833 czy 34 wyszły w pięciu tomach, i są drukowane w tym porządku, jak przychodziły na świat. Największe w swoim czasie wrażenie sprawiła *Zemsta za mur graniczny*. Nowakowski stworzył rolę cześnika i dotąd nie znalazł nikogo, co by mu w niej wyrównał, dlatego że umiał się przejąć fantazyą i zacięciem owych dawnych kontuszowców, na których jeszcze patrzył w młodości.

Obok komedii, niema co wspominać o innych poetycznych utworach Fredry, drukowanych w pismach

czasowych; jedna tylko powieść: *Nieszczęścia najszcześliwszego męża*, zasługuje na pamięć, jako humorystyczny obrazek, pełen życia i dowcipu najczystszej wody. Wiszniewski w *Charakterach rozumu ludzkiego* ocenił sprawiedliwie ten utwór, będący wzorem komiki; ja zaś dodam z mojej strony, że czytając go i w najsmutniejszym położeniu, można się rozśmiać serdecznym śmiechem.

To co się rzekło, przedstawia Fredrę w jednym tylko okresie jego zawodu, który się zamknął przed dwudziestu pięciu laty; drugi okres, będący owocem tajonej pracy, wtenczas się zaczyna dla publiczności, kiedy autor nieznanne twory swoje z lat dojrzałych wyda na widok.

Skruszyć pióro, a pisać lecz nie udzielać się, to dwa odrębne sposoby wystąpienia z literackich szeregów. Pierwszy znamionuje zemstę lub niemoc, drugi powiada tylko: nie podobam się, więc zamilknę. Często bowiem się zdarza że publiczność, porwana jakim innym kierunkiem, przestaje smakować w tym lub owym rodzaju literatury. W takim przypadku najlepiej ucieknąć, bo choćbyś dał arcydzieła, nie poznają się na nich, co zawsze dla autora nie jest przyjemnym wynagrodzeniem, a szczególnie dla autora dramatycznego. Fredro zamilknął, lecz mógł się przekonać, że sąd kilku nie był sądem narodu.

Lucyan Siemiński.

## Kronika tygodniowa.

Stary rok przepadł bezpowrotnie w otchłani wieków i po trudach krótkiego żywota, zasnął w pokoju na zawsze.

Nowy rozpoczął lot bystry, wzbija się w przyszłość, porywając za sobą serca, myśli i życzenia milionów.

Z przedświtem każdego roku błogie nadzieje wypełniają całą istotę człowieka; lecz jakże szybko przedbieg czasu rozwiewa je bezpowrotnie!..

Zaledwie jutrzienka roztoczyła swą purpurę na młodocianem niebie, jeszcze oko nie nacieszyło się jej pięknoscą, gdy już poranne słońce blaskiem swym gasi czarowne promienie zorzy; już i południe czoło znojem oblewa; za chwilę gwiazda dzienna schyla się ku zachodowi, tonie na krańcach horyzontu, a chłód wieczorny wiedzie za sobą cienie nocy.

Oto dzień, oto rok, oto życie człowieka. Wszystko krąży w obłędnej kole. Pragnienie cudu rozpięta pierś ciężarem trosk codziennych przygniecioną, i mimo niezliczonych zawodów, serce ożywia wiecznie nadzieja szczęśliwszego jutra.

Dlaczegoż człowiek, znając te odwieczne, niezblagane koleje rzeczywistości, zwykł przyszłość swą powierzać igraszkom losu?

Istota rozumna, mająca w przymiotach duszy potężne siły, nie zależy jedynie od dziwactwa losu. Człowiek powinien zapanować nad nim tak, aby w przeciwnościach zdołał stawić mu czoło, a obracać go na swój pożytek, ilekroć przychylniejszy wiatr zawieje, w każdym zaś razie ze zmian jego korzystając.

Złudzeniom nikt oddawać się nie powinien, bo jeżeli własną usilnością nie zabezpieczy sobie pomyślności na ziemi, to pewnie i los nie przyniesie mu gotowych owoców, by je niezastulenie pożywał.

Są ludzie, którzyby całe życie pragnęli prowadzić społeczeństwo ścieżką uslaną różami i oburzają się jeżeli wśród kwiecia ukryty cierń, niespodzianie skaleczy im stopę. My nie podzielimy tego sposobu widzenia. Lepiej zawnazsu wskazać gdzie tkwi kolec, bo wtedy łatwo go uniknąć. Przejrzenie się tylko w czystym zwierciadle prawdy może wskazać plamkę na obliczu, którą zmyć trzeba. Piękne złudzenia podobają się często, lecz wiodą na błędne manowce. Wystawiać sobie że jesteśmy w raj, niepodobna, bo każde stąpienie przekonywa, że dotykamy ziemi.

Kto więc chce dążyć na ziemi ku szczęściu, niech pozna dobrze drogę do niego wiodącą, aby zboczywszy z niej, nie wpadł w przepaść.

Ale zapuściliśmy się w gawędę, z ujmą dla nowego roku.

Gdy więc chwila obecna, wiekowym zwyczajem, uswiega życzenia, pozwólcie, miłe czytelniczki i zaccni czytelnicy, byśmy i od siebie wam je złożyli.

Wszystkie życzenia nasze zamykamy w jednym: aby każdy z nas, nie spuszczając się na zrzędzenie ślepego losu, pracował jak umie i może nad gojeniem ran społeczeństwa; starał się wysledzić gdzie i co jest dobrego do zrobienia; dzielił się swemi wiadomościami

mi z temi co ich potrzebują; walczył przeciw wadom i przesadom i zajął się usilnie tém, co prawdziwy pożytek przynieść może.

Bóg, widząc tę skrzętność naszą, pobłogosławił pracę; znikną resztki próżności i zbytków; zawstydzone lenistwo i opieszałość ukryją się przed okiem bacznego na swych członków społeczeństwa i potomkowie nasi wydadzą chlubny sąd o obecnym pokoleniu, że nie spoczywało w nikczemnym próżniactwie, lecz swą usilnością i pracą zbudowało sobie wiekowy pomnik.

Rozbudzony popęd do dobrego pomyślnie wydawać zaczyna owoce, mamy na to dowody w błogich wieściach dochodzących z różnych stron kraju.

Oświata ludu, przez wieki pograżonego w nicości, zajęła wszystkich umysły i coraz więcej zyskuje pracowników.

Właściciele wsi, a szczególnie zacne ich żony i córki, zajęli się w bardzo wielu miejscach niesieniem światła nauki pod ubogie strzechy włościańskie. Na dowód tego niech nam będzie wolno parę czynów przytoczyć, które silnie przemówią do naszych czytelników, aniżeli najpiękniejsze okresy zapchane ogólnikami.

We wsi Zdanne w Lubelskiem, szkoła istniejąca od lat 10 znakomicie rozprzestrzenioną została. Poświęcono ją uroczysto, a około stu dzieci włościańskich z swemi rodzicami towarzyszyło temu kłiwemu obchodowi, którego dopełniali wspólnie kapłani obrządku łacińskiego i unickiego; poczem właściciel wsi rozdał dzieciom elementarze, a właścicielka ofiarowaniem owoców usiłowała je ośmielić i zachęcić.

Dziś szkoła ta w kwitającym jest stanie; chęć i pilność w nauce zadziwiająca, lecz co większa, że przeszło 30 włościan dorosłych obojętnej płci prosiło, aby w wolnych chwilach mogli korzystać z nauki i o lepsze ubiegają się z dziećmi.

Oprócz tego jest w Zdannem szkoła agronomiczna dla dzieci włościańskich, które w liczbie dziecięciu, okryte jednakowo kosztem zacnego dziedzica, słuchają nauki, a w lecie każde z nich ma sobie oddany jeden morg pola, na którym wprawia się w roboty praktyczne. Plon z tych pól zebrany i sprzedany, idzie na dochód miejscowej kasy oszczędności i dla biednych włościan.

Osoba zacna, która nam tych miłych wieści udzieliła, była obecną na nabożeństwie w cerkwi. Ordynkiem kłęczały dzieci i modliły się pobożnie na książeczkach; właściciel i właścicielka uczestniczyli, jak zawsze, w nabożeństwie, a podczas mszy św. młodociane, wyuczone głosy dzieci zabrzmiały stosownymi pieśniami, niosąc do stóp Stwórcy tę woniejącą niewinnością modlitwę.

Czyż to nie czyn piękny, zasługujący na to aby był przykładem dla wszystkich których serca nie przemówiły?

Inna jeszcze wieść, równie piękna, z nad Huczwi.

Właścicielka jednej z wiosek tamecznych, wierna zwyczajom naszym starym, że wigilia świętego Andrzeja daje wiele zajęcia co roku niewiastom, postanowiła od niego nie odstępować i wraz z trzema córkami w dniu tym rozpoczęła naukę dzieci włościańskich.

Na proste ogłoszenie że: kto ma ochotę uczyć się, niechaj przychodzi do dworu, chmara dzieci zbiegła się ze wsi, tak iż cztery zacne nauczycielki, podzieliwszy pracę pomiędzy siebie, zaledwie zdołały wystarczyć tej tłumnej gromadce.

Uczą tam czytać, tłumaczą im religią, udzielają nauki robot potrzebnych dziewczątkom, które, jak zwykle, więcej chęci i pojętności od chłopców okazują.

W ogóle chęć oświaty pomiędzy ludem coraz silniej się rozbudza. Świżo mieliśmy wiadomości od kilku właścicieli wsi, iż włościanie przynosili do dworu pieniądze zebrane pośród siebie, prosząc o zaprenumerowanie im jednego z pism wyłącznie dla ludu wiejskiego wychodzących.

Widać więc że ziarno rzucone wschodzi pięknie, że rolę przez długie lata odłogiem zapuszczoną, tém bujniejsza zieleń pokrywa.

I czyż nie mieliśmy słuszności, ubolewając nad tém, że długie lata spoczywano na nas nie robiąc, co przecież obudziło niezadowolenie ludzi głębiej nie sięgających?

Patrzmy co się działo przez lat tyle u nas, a co gdzieindziej.

Miliony włościan uprawiających w pocie czoła ziemię, nie miało tej pociechy, aby po chwilach znoju w dzień świąteczny ożywić przygnieciony umysł techniem wyższem, wegetowało w otętwiałości, lub w kieliszku upajającego napoju szukało chwilowej pociechy,

nie mając innej, rzetelniejszej i stałej. Człowiek pozostawiony na tym stopniu nędzy moralnej, czyż będzie uczciwym, skrzętnym i pracowitym rolnikiem, kiedy nie ma innej pobudki do pracy, jak tylko przymus? Ilez na tém straciliśmy wszyscy!..

Czyż mając więcej oświaty, nie byłiby łatwiejszemi do zawierania umów czynszowych, do podwojenia pracy i polepszenia przez to bytu własnego, a w skutku tego bytu całego kraju?

Spojrzyjmy na pobratymcze Czechy. To także szczep słowiański, obwiniany przez nieprzychylne mu narodowości o lenistwo, apatję i niechęć do polepszenia swego bytu. Odkąd nauka zajrzała pod dachy włościan czeskich, jakże się ich położenie zmieniło! Z biędaków, podobnych naszym włościanom, wyszli na gospodarzy porządnych, na rolników światłych, pracujących z świadomością swego powołania.

Zabudowania wiejskie z nędznych lepianek przeszły w porządne, bardzo często jednopiętrowe dworki. Obok dostatku inwentarza i dobrych narzędzi, w każdym prawie domostwie napotkasz biblioteczkę z dzieł rolniczych, moralnych i pożytkowych; tu i owdzie słychać głos fortepianu lub skrzypców.

Encyklopedia czeska ma 7000 prenumeratorów, a że między klasami wyższemi przeważają znakomicie Niemcy, więc któż ją trzyma?—chłopi czescy.

Oni są korespondentami dzienników rolniczych czeskich i przesyłają sprawozdania z doświadczeń agronomicznych przez siebie dokonanych.

Każda książka pożyteczna rozchodzi się najmniej w czterech, zwykle zaś w sześciu, ośmiu i dziesięciu tysiącach egzemplarzy.

I tych Czechów jest niecałe trzy miliony, Polaków zaś wielokroć więcej; a zapytajmy księgarzy naszych jaki największy robią nakład. Oto i dwóch tysięcy egzemplarzy zwykle rozprzedać niepodobna.

W Szląsku austriackim, w księstwie cieszyńskim, 200,000 Polaków, z małym wyjątkiem samych włościan, podtrzymuje wydawnictwo książek polskich. Wśród nas samych nawet mamy w tym rodzaju uderzający przykład.

Kilkakroć sto tysięcy Izraelitów, zamieszkujących królestwo, z wyjątkiem oświecenijszej klasy wyznawców możeszowej religii, tylko z piśmiennictwa hebrajskiego korzystać może. I oto ta szczupła liczba prenumeruje dwadzieścia kilka tysięcy obecnie drukującego się talmudu! Cóż na to odpowiemy?

Kiedy więc przyszła pora szczęśliwa, że ogół społeczeństwa naszego seryo zaczyna się brać do nauki, nie ustawiajmyż na początku tej drogi. Niech przykład właściciela wsi Zdanne i innych jemu podobnych zacnych naszych współziomków, gwiazdką Chrystusową zabłyśnie nad całym krajem. Nie dajmy się zawstydzić pobratymczym Czechom; niechaj z światłem nauki spływa dla kraju lepsza dola; niechaj ten nowy rok da hasło do niustannych usiłowań i będzie porą postępu na tej drodze którą mamy przed sobą.

Wydawanie książeczek dla ludu, powinno dziś stać na czele piśmiennictwa. Niech powieści wyższe piszą tylko pisarze wybrani, których słowo rzeczywistość korzystać przynieść może społeczeństwu; niech będą tendencyjne, do poprawy ogólnej, do zachęty wiodące; niech zamilkną niestrojne z epoką w której żyjemy liry nieproszonych piewów, a ludzie pióra niech poprzysięgną sobie używać go tylko w najuczciwszych celach. Jeżeli zaś przypadkiem harmonia tę zakłóci krakanie kruk, łatwo rozpoznają wszyscy głos fałszywy, chociażby chciał przybrać się w wypłowiałe pióra kraski.

Wrodzona dobroć i szlachetność ożywia serca niższych klas naszego społeczeństwa, które tylko potrzeba rozwinąć, podnieść, uzacnić, a to winno być starszą braci staraniem. Wszędzie znaleźć można uczucie litości, wszędzie pomoc. Zdarzenie następne wymownie tego dowodzi.

Przed parą tygodniami w Kaliszu, na ulicy św. Mikołaja, wśród nocy, dały się słyszeć bolesne jęki. Obywatel wiejski nocujący w hotelu naprzeciwko położonym, wysłał służącego, dla przekonania się o ich przyczynie. Dowiaduje się że we wrotach hotelu leży uboga niewiasta, z dziećciem przed chwilą urodzonym.

Zanim obywatel ów zdołał się ubrać i zbiegnąć na ulicę, już nieszczęsną uboga także mlęczarka wzięła do swego domu.

Pocziwa ta kobieta ustąpiła jej swego łóżka i przez trzy dni trzymała ją u siebie, dopóki po przejściu niebezpieczeństwa nie mogła być przeniesioną do miejskiego szpitala.

Obywatel ów, p. W., chciał wynagrodzić litościwą

mlęczarkę; ale ta odpowiedziała: „Wielmożny panie! proszę schować swoje pieniądze. Nie miałabym sumienia przyjąć jednego grosza za to, com uczyniła z mojej powinności.“

Losowanie obrazów pomiędzy członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych jawnie okazuje, jaką korzyść niesie ono i dla akcyonaryuszów i dla artystów.

Pięćdziesiąt cztery obrazów po większej części wisiałyby dotąd na ścianach sal wystawy, gdy teraz rozbiegną się po całym kraju, aby nieść w różne okolice zamilowanie piękna. Niejedna z osób zamniejszych, ujrawszy w sąsiedzkim dworze zawieszony obraz na ścianie, zapragnie posiadać podobny i zasilą pracę artystów nowym żądaniem; niejeden, widząc szczęśliwego wybrańca losu, pozazdrości wygranej i zostanie akcyonaryuszem towarzystwa. Piękna rycina zgonu królowej Barbary, stanowiąca tegoroczne premium, bez zawodu także wpłynie przyjaźnie na pomnczenie liczby członków towarzystwa. Zyska na tém sztuka, zyskają artyści. W Krakowie istnieje, jak wiadomo, także Towarzystwo sztuk pięknych, lecz o połowę przeszło liczby więcej akcyonaryuszów. My nie powinniśmy pozwolić się przewyższyć mieszkańcom stron tamtych, i jeśli kraj rzeczywiście uboższy zdobył się na tylu lubowników, to i u nas nie powinno ich zbraknąć.

W liczbie wydawnictw dorocznych, o których mówiliśmy w przedostatniej kronice naszej, wyszedł także „Kalendarz dla Polek“ A. Dzwonkowskiego, zawierający dużo rycin i artykułów treści nadobnej. Z prac obszerniejszych zasługują na wspomnienie: artykuł W. Statkowskiego o potrzebie wyższego wykształcenia naukowego dla kobiet; wyjątek z dzieła „Anna Jagiellonka“ (elekcyja), wytrawnym piórem Bartoszewicza napisany, oraz monografia historyczna Marya Leszczyńska, skrócona przez Edwarda Lubowskiego, młodego a bardzo czynnego i zdolnego współpracownika „Niewiasty“, wychodzącej w Krakowie pod redakcją J. K. Turowskiego. Praca ta poraz pierwszy daje poznać publiczności naszej nowego pisarza.

O Niewiastce, jak równie o Gwiazdce Cieszyńskiej, przypominamy raz jeszcze naszej publiczności. Dwa te pisma uzyskały debiut w królestwie polskim i reprezentują w cząstce piśmiennictwa galicyjskie peryodyczne, nam dotąd prawie obce.

Nakoniec donosimy jeszcze o wyjściu, nakładem A. Nowoleckiego w Warszawie, pierwszego zeszytu dzieła p. n. „Węgry pod względem historycznym, artystycznym, literackim i społecznym“, z którego jedną rycinę i dość obszerny wyjątek zamieściliśmy w Nrze 443 naszego Tygodnika. Wydanie to, bez zaprzeczenia, należy do najobszerniejszych u nas; papier i druk nie pozostawiają nic do życzenia, a treść sympatyczna dla nas i ściśle z dziejami naszymi związana, rokuje przedsięwzięciu p. Nowoleckiego niechybne powodzenie. Prosilibyśmy tylko wydawcę, żeby w następnych zeszytach postarał się o delikatniejsze odbi-

cie drzeworytów, lubo wiemy z własnego doświadczenia, jak o to u nas jest trudno.

### Kazimirz Jaks Komornicki.

Kiedy przed laty dwudziestu kilku piśmiennictwo nasze, po chwilowym przesileniu i tęczowym błysku literatury pięknej, przybrało zwrot poważniejszy i bardziej odpowiedni potrzebom czasu, ś. p. Komornicki stanął w rzędzie pracowników z zabużańskich prowincyj.

Nauki przechodził w krzemienieckim liceum. Po krótkim potem za granicą pobycie, w r. 1830 wrócił do kraju, a pomimo że się wkrótce ożenił i w ro-

Głównym jego zdawało się być zadaniem, poznanie zasad i celu sztuki i wyrobienie w sobie samoistnego sądu o niej. Wywiązał się też sumiennie z tego zadania szeregiem artykułów, umieszczanych różnocozasowie w Atheneum, piśmie zbiorowym, wydawanym wtedy przez J. I. Kraszewskiego.

Lecz obok niezaprzeczonego znaczenia sztuki w sferze narodowej oświaty i potrzeby rozwijania zdrowego sądu o niej, umysłowi przedstawiciele naszego ogółu uczeni z postępem czasu bardziej gwałtowną koniecznością upowszechniania społeczno-ekonomicznych pojęć. Kierunek ten, do dziś dnia należycie nieuważany, nietylko w massach, ale nawet wielu piszących, wywoływał silną na razie reakcją. Rozważać zasady ekonomii społecznej, a tém bardziej radzić zastosowanie ich w praktyce, znaczyło niemal to samo, szczególnie w naszych prowincjach, co oskarżać samego siebie o zatrącenie najświętszych tradycyj domowych, a może i o bezbożność. Wystąpienie podobne wymagało niezaprzeczenie pewnej cywilnej odwagi, i daje zarazem świadectwo wyższej potęgi umysłu, zdolnego wznieść się nad chwilowe przesady współczesnych. Jakoż ś. p. Komornicki, wcześniej od innych, a może pierwszy u nas za Bugiem, oddawał się pracom naukowym na polu ekonomii politycznej. Do tego rzędu prac należy kilka artykułów drukowanych także w Atheneum.

Przystępując potem do urzędniczego przewodniczącej mu myśli, ś. p. Komornicki wypracował pierwszy tom dzieła pod tytułem: *Rządność krajowa w starożytnej Polsce*, obejmujący okres czasu od VIII wieku, do końca panowania Bolesława Chrobrego. Postawione na czele tomu pamiętne słowa Helmoda: „Na ziemi ich nie widziano żebraków ani włóczęgów“, wskazują niejako charakter zapatrywania się autora na pierwiastkowy peryód historii naszej. Pożyteczną także jest rozprawa ś. p. Komornickiego, pod tytułem *O miarach i wagach krajowych i zagranicznych*.

Obu tych prac niewydanych, dokonał ś. p. Komornicki w kilku ostatnich latach życia, podczas pobytu swego w Żytomierzu, gdzie go wychowanie dzieci i urzędowanie z wyborów szlachty zatrzymywało.

Oprócz tego w r. 1853 i 1854 pisywał do Gazety Warszawskiej, pod tytułem: *Korrespondencje z nad Teterowa*, zwracając głównie uwagę na żywotniejsze kwestyje, dotyczące gospodarstwa i ekonomiczno-finansowego stanu naszych prowincyj.

Ciągle przytęm pracował nad historją starożytną Polski. Świat jaki się nam odsłania z kartek starych kronik, tak różny od tego w jakim żyjemy, ponętne chwytają za serce, uzdalniając myśl do tworzenia na obraz i podobieństwo przeszłości. Obrazową tę część swoich wrażeń, niedających się wcisnąć w ramy poważniejszej, historycznej pracy, umysłlił zacny ziomek nasz włożyć w strofy bohaterskiego poematu; i chociaż nigdy przedtém mowy wiązanej nie używał, na kilka tygodni przed śmiercią rozpoczął, a na dni kil-



Lepiuk stał oparty o wrota, z fajką w ręku; patrzył i takim srogim wzrokiem mierzył córkę i jej towarzysza, że w Motrunie serce zastygło ze strachu. (Rysował na drzewie Kostrzewski, podług szkicu K. Komornickiego.)

dziennej wiosce zamieszkał, nie przestał pragnąć głębszej i wszechstronnejszej wiedzy.

W tym celu wyjechał do Warszawy, gdzie pod okiem Bonawentury Dąbrowskiego w rysunku się kształcił, a potem odbył podróż do Niemiec, zwidzając słynniejsze galerie obrazów. Niewiele jednakże oddawał się malarstwu i żadnego w niem nie obrał sobie rodzaju; jakoż ledwo kilka szkiców olejnych, pastylowych i ołówkowych w ręku rodziny lub znajomych zmarłego zostało. (\*)

(\*) Jeden z takich szkiców, przedstawiający scenę do „Chaty za wsią“ Kraszewskiego, której zamierzano wtedy zrobić ilustrowane wydanie, dajemy tu w drzeworycie, jako próbę talentu rysowniczego ś. p. Kazimirza. (Przyp. redak.)

ka przed zgonem skończył, dwie pieśni poematu, pod tytułem: *Mstiwój*. Utwór ten, zaledwo zaczęty, nieopólitych jest zalet, tak pod względem treści, jakoteż formy, udatnie zastosowanej do przedmiotu.

Na tém kończy się nieliczny zbiór prac s. p. Komornickiego, które jednakże nie były jedyną zasługą zmarłego. W życiu prywatnym i publicznym, obok ciągłej pracy, wyróżniała go ta prawda, skromność i godność, co niewoląc serca, powszechny zyskują szacunek. Umiał on uszanować godność każdego, kto się do niego zbliżał, bez różnicy wieku i stanu, i pod tym względem należał niezaprzeczenie do wyjątków. Niemniej też z wyjątkowym poświęceniem starał się spełniać urząd swój z wyborów, czego najbliższym byłym świadkiem. Nie dając się unosić prywatnie i stosunkom, każdą sprawę zawilszą, jakich nie mało sąd cywilny, w którym był deputatem, dostarcza, pragnął sam wyrozumić i z gruntu poznać. Usiłował przytém oznajomić się z prawem krajowem, które mu za normę postępowania służyć musiało.

Urodzony 4 marca 1812 r. w rodzinnym majątku Uizdach, na Wołyniu, w powiecie dubieńskim położonym, umarł w Żytomierzu 22 listopada 1857 roku, osierocając żonę Julię z Kleczyńskich i czworo dzieci. Śmierć jego, po krótkiej i niezatrważającej chorobie,

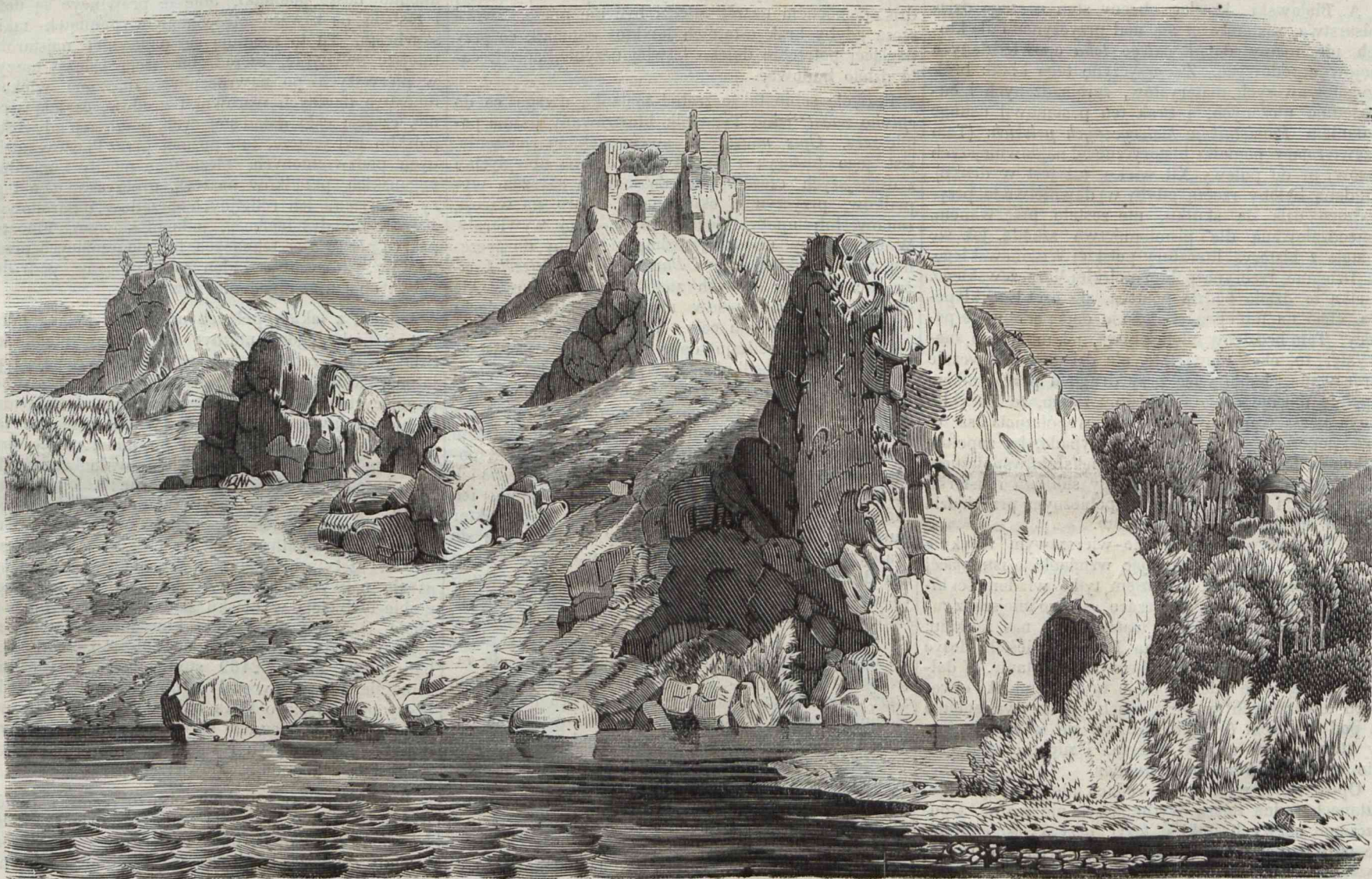
jąc, oko i czucie zwyczajne nie wystarczy, trzeba do tego oka i uczucia poety; z takim spoglądał na nie nasz Seweryn Goszczyński, od którego też pożyczamy po większej części słów pięknego opisu.

Wyniosła i przykra góra, panująca z jednej strony nad szczył nowotarskiej-doliny, z przeciwniej zaczynająca pasmo wzgórzów, zakończone skałami Pienin, oto posada Czorsztyna. Na południowej stronie sciana zamku zdaje się być jakby dalszém wyprowadzeniem skały wznoszącej się prostopadłe od płaskiego błonia, jakby mur z jednostajnej różowej skały. Dno głębiny uściela piękne błonie zielone, po niém wieś rozrzucona i snujący się dalekowiedny Dunajec; na drugim brzegu rzeki Węgry, z górami swemi w świeże lasy ubranemi i zamkiem wyżej wspomnianym. Wschodnia część góry najezona jest ostremi, nagimi wzgórzami z wapiennego kamienia, tu i owdzie rozrzucone krzaki jałowcu i świerki zielonością wieczną strojne. Ów szereg nagich, wysokich, przepaścistych opok, tworzy linią tak warowną i samorodną, że sam widok jej mimowolnie nasuwa myśl czarodziejstwa wspierającego założycieli Czorsztyna.

Zwaliska Czorsztyna są siedzibą mnóstwa podań romantycznych, które tak chętnie przylegają do dawnych gruzów historycznych; mnóstwo też o nim

większej wziętości ze Sztembergu Kostką, opanował ten zamek i podlegał lud do powstania, przyrzekając mu swobody większe i posiłki w ludziach zbrojnych. Aliści Piotr Gembicki, biskup krakowski, wysłał nań nadworne swe hułce, zdobył zamek, a pojmany Napierski wraz z innemi dał gardło w Krakowie.

Lecz nie same rozbojnicze pamiętki przemawiają z gruzów Czorsztyna. Tu w roku 1440 przybył ze świetnym orszakiem Władysław Jagiełło, udając się na objęcie tronu węgierskiego; tu po dwudniowym pobycie zęgnął się z matką Zofią i bratem Kaźmierzem, którzy go do granicznego zamku ojczystego odprowadzali. W roku 1655, w smutniejszej okoliczności, przybył tu król Jan Kaźmirz, uchodząc przed Szwedami, którzy cały kraj najezdnicami swemi wojskami zaleli. I mniemał biedny król bez ziemi, że tu w górach i lasach bezpieczne znajdzie schronienie na ostatnim krańcu obszernego królestwa swego. Lecz wnet nadszedł za nim nieprzyjaciel, a monarcha opuszczony od wszystkich, musiał się udać za obręb swego państwa. I rzucił zapewne z okien starego zamku ostatnie spojrzenie pożegnawcze na ziemię rodzinną, a w tém spojrzeniu rzuconém na wrogów, którzy bezkarnie plądrowali po dawniej Piastów i Jagiełłów dziedzinie, było już wówczas łzą żalu wyra-



CZORSZTYN NAD DUNAJCEM. (Rysował Cegliński, podług litografii Misurowicza).

była tak nagłą, że jeszcze ostatni dzień życia spędził wśród zwykłych zajęć, a ostatni wieczór wśród rodziny i przyjaciół, ożywionych jego towarzystwem.

Ciało jego, złożone czasowo w katakumbach żytomierskiego ementarza, przeniesioném później zostało do familijnego grobu w Tajkurach, na Wołyniu.

J. P.

## CZORSZTYN.

Skróć okien różnobarwnych panuje roślina, Wdzierając się na głuche sciany i sklepienia, Zajmuje dzieło ludzi w imię przyrodzenia, I pisze Baltazara głoskami „R u i n a.”

Adam Mickiewicz.

Położenie zwalisk zamku czorsztyńskiego, jest jednem z najromantyczniejszych w obwodzie sandeckim. Tysiące wzbudza uczuć ten widok gór skalistych tylekroć opisany, z świerkowemi gajami swemi, granitowemi płytami, stromemi urwiskami i bystreimi wodami Dunajca, który przesłizguje się pomiędzy skały i kamienie. Żaden rysunek i żaden opis nie zdoła oddać wszystkich piękności tej karpackiej przyrody, skupionych tam razem, na które, by je oglądać i po-

mamy wierszem i prozą pisanych powieści; wszakże jedna nawet z dawniejszych a rzadkich operetek naszych, tyle niegdyś ulubiona, nosi nazwę „Zamku na Czorsztynie”. I nic dziwnego; do nazwy zamku bowiem czorsztyńskiego łączy się wiele pamiętek prawdziwych, zapisanych na kartach dziejów naszych.

Początek zamku tego niknie w mgłę dalekiej przeszłości; podobno stał już przed Kaźmierzem Wielkim, który go odnowił i wzmocnił. W nim, jak podanie niesie, mieszkał Zawisza Czarny, ten nasz bohater bez skazy i zmayı. Samotne zamku tego położenie w okolicy górzystej, na pograniczu dwóch krajów, dawało nieraz sposobność do zbierania się w nim band rozbojników, którzy ztąd rozpuszczali swe zagony. I tak w roku 1401 zgraja rozbojniczej szlachty miała tu swój bezpieczny przytułek; musiano aż użyć siły zbrojnej na odzyskanie zamku i osłonięcie okolicy od łupieztwa. W roku 1434 rabusie z Czechów i Rusinów złożeni, wypadając z Czorsztyna, wielkie Węgram i krajowcom szkody zrzadzali. Nareszcie w roku 1651, za poduszczeniem Chmielnickiego, usiłującego w całej Polsce podburzyć wieśniaków przeciw szlachcie, niejaki Aleksander Napierski, mieniący się dla

zone jakby odbicie owego ducha wieszczego, z jakim w kilka lat później, zstępując z tronu, przepowiadał panom i szlachcie przyszłe koleje nieszczęśliwe ojczyzny. W końcu wieku XVIII, gdy wszystko w kraju do upadku się chyliło, i zamek pustkami stojący zapadł w gruzy, z których dotąd nie powstał.

(Z ok. Gal.)

## KORRESPONDENCYA

### TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Z nad Pilicy, dnia 21 grudnia 1861 r.

Encyklopedia powszechna. — Brak historii powszechnej. — Kwestya opisów miast w Tygodniku. — Jeszcze o nauczycielach wiejskich.

Od lat kilkudziesięciu nastała u nas posucha na dzieła poważne, na dzieła, że tak powiem, *myśli i czynu*. W dzisiejszych czasach, gdy zaledwie co lat parę błysnie jakieś jaśniejsze światelko wiedzy, gdy zalani powodzią powieści historycznych, fantastycznych, obyczajowych i nieobyczajowych, z chciwością łakną-

cego powinniśmy zdrowszy pokarm chwycić i do spozycowania zdolnym uczynić, dziś, pytam się, czém usprawiedliwić obojętność dla książek poważniejszych?

Po ukończeniu *Słownika języka polskiego*, jedynym rozległym dziełem jest *Encyklopedia powszechna*, nakładem Orgelbranda wychodząca od lat trzech w Warszawie. Wydawnictwo to, ze wszech miar zasługujące na uwagę i szczerę zajęcie się czytającego ogółu, prócz kilku, w niedługim czasie po jego zawiązku, pomieszczonych w dziennikach wspominków i polemik, zapomniane prawie, cicho dąży do raz obranego celu.

Encyklopedia powszechna w wyszłych dotychczas 74 zeszytach, przedstawiła nam dostatecznie, ile to dzieło ważnym i drogocennym się stanie dla każdego niemal człowieka. Zajmowanie się ję, obok rzeczy cudzoziemskich, rzeczami szczególnie polskimi, bez krzywdy jednak tamtych, podnosi jeszcze więcej ję wartość, z powodu iż obok równej staranności w rzeczach powszechnych z encyklopediami zagranicznymi, zapelnia braki które one grzeszą. Jako pierwsze dzieło polskie w tym rodzaju, wcaleby nawet nie zbłądziła, gdyby zakresłona liczba 20 tomów została w niej przekroczoną.

Na dorocznym posiedzeniu zakładu narodowego imienia Ossolińskich, odbytym w dniu 8 października r. z., A. Bielowski, kreśląc obecny stan naszego dziejopisarstwa, zastanawiał się nad przyczynami dla których nie mamy dotąd całego toku opowiedzianych dziejów narodowych. Za przyczynę tego kładł: brak przygotowawczych materiałów, zgromadzonych i odpowiednio ułożonych, i brak ten postanowił usunąć wydaniem *Pamiętników historycznych polskich*. (Tom I, zawierający pomniki historyczne od najdawniejszych czasów, aż do połowy XII wieku, już jest w druku). Pożądaną byłoby rzeczą gdyby wydawnictwo to, przychodzące dziś do skutku, nie zostało przerwane, z nieodżałowaną dla piśmiennictwa szkoda, jak się to stało z historią literatury polskiej Wiszniewskiego, i z *Dziejami Rzeczypospolitej polskiej* Moraczewskiego. Wielką to dzieło będzie pomocą, ale czyż Encyklopedia, choć na mniejszą skalę, nie daje podobnej pomocy? Tam będziemy mieli surowe, jak mniemam, materiały; tu, choć niewielkie, ale dziejowo-krytycznie opracowane. Jedno więc przy drugim pracownikom zupełnie utoruje drogę. Widzimy zatem, że Encyklopedia nasza warta uwagi, warta współczucia i szczerzego poparcia. Ale z tego nie wypada, by zupełnie doskonałą być miała, by przy największym współczuciu i uznaniu ję wartości, nie znalazły się tam i usterki. Usterki są, i oto te, które w pobieżnym przeglądzie litery B spostrzegłem, wymieniam.

W krótkim, kilkudziesięciu-wierszowym artykule *Batignolles-Monceaux*, szukając wzmianki o istniejącej tamże szkole polskiej, znalazłem tylko wiadomości historyczno-statystyczne, dotyczące samego miejsca, z zupełnym pominięciem tak ważnego dla nas zakładu; a przecież niedawno *Gazeta Polska* umieściła dosyć zadowalającą wiadomość o obecnym jego stanie. W dalszym przeglądzie uderzył mnie brak wzmianki o wodach mineralnych w Birsztanach, brak wymienienia iż pod wyrazem *brantka*, rozumie się także i pieniek, w który kurek u fuzji uderza, i zupełne opuszczenie wyrazów: *Bundestag*, *Bulwar*.

Opuszczenia wzmianki o wodach mineralnych w Birsztanach żadną miarą wytłumaczyć nie można. Opuszczenie nazwy brantki u fuzji, przy wyjaśnieniu tejże nazwy w artylerji, dałoby się chyba tém usprawiedliwić, że ów pieniek inną nosi nazwę; lecz w takim razie, podobnie jak w poprawieniu mylniej nazwy brantki przy działach odesłano do: *przedpalniczek*, tak i tu do stosownego wyrazu odesłać należało. Opuszczony wyraz *Bundestag*, ze względu na rolę i działanie tego zgromadzenia w niedawnych czasach, wymaga koniecznie chociaż nie szczegółowej, to przynajmniej rozbiegającej nazwisko, ogółowej wzmianki. Jeżeli zaś ma być umieszczony pod jaką *spolszczoną* nazwą, to nie od rzeczy byłoby zamieścić choć sam wyraz pod głoską B, z odsyłaczem do miejsca właściwego. Dalej wyraz *Bulwar*, również dla ogółu potrzebujący wyjaśnienia, zupełnie zapomnianym został w Encyklopedji, tak pod nazwą francuzką, jakoteż i pod *spolszczoną*. Wiedzieć jednak należy, iż między osobami niezbyt gruntownie posiadającymi wiadomości, (dla których Encyklopedia szczególnie jest potrzebna) różne istnieje mniemanie o znaczeniu wspomnianego wyrazu. Świadomszy rzeczy wiedzą że *boulevard* oznacza szeroką ulicę, po bokach wysadzaną drzewami; owi zaś niegrzeszący zbytkiem wiadomości, a trzymający się nazwy murowanego brzegu Wisły na Solcu, mylnie zwanego bulwarkiem, utrzymują że *bulwar* (właściwie *quai*) oznacza w ogóle murowany brzeg rzeki. Kto tu ma słusność, dowodzić nie trzeba. Pomimo tego jednak Encyklopedia, będąc po-

wszechną, nawet i w razie nieistnienia podobnej wątpliwości, wyrazu tego opuszczać nie powinna. Te niedostatki spostrzegłem w pobieżnym przeglądzie Encyklopedji, a wymienieniem ich nie chcę bynajmniej zmniejszać ję wartości; powoduje mną li tylko szczerą chęć, ażeby dzieło tyle potrzebne i ważne, tój potrzebie i wadze jaką ogół chce w niem widzieć, godnie odpowiedziało.

W jednym z niedawnych numerów *Tygodnika Ilustrowanego*, kronikarz tygodniowy zaczął kwestją braku historii powszechnej i innych książek do wykładu szkolnego. Czuliśmy dawno ten brak, jakoteż brak dziejów polskich obszernie wyłożonych, a w obydwóch tych razach *pośrodkami* zaspakajało się potrzebę. Nad przyczynami niedozwalającemi całkowitego, obszernego skreślenia dziejów ojczystych, rozwiódł się już Bielowski, i pomoc dać usiłuje; pozostaje więc historia powszechna. W tój kwestji dziwi mnie, że dotychczas nie zwrócono uwagi na *Wykład dziejów powszechnych* Lelewela, o którym pan Bartoszewicz, w swęj *Historji literatury polskiej*, tak się trafnie wyraził. W wykładzie szkolnym główną jest rzeczą treściwość, a na tój dziełku Lelewela nie zbywa, samo zaś rozwinięcie rzeczy już do wykładającego należy. Czemużby więc dziełko samemu autorowi w uniwersyteckim wykładzie pomocą będące, dziś pomocnem naszej młodzi być nie miało, zwłaszcza gdyby brak ostatnich lat ktoś dopełnił, co przy nagłej potrzebie daleko łatwiej uczynić, aniżeli całe dzieło budować.

Pozwolę sobie także zrobić małą uwagę co do *opisów miast*, jakie *Tygodnik Ilustrowany* licznie pomieszcza. *Opis miasta* w swém pełnem znaczeniu, jest jego historją i statystyką z dawno ubiegłych i z dzisiejszych czasów, jest dokładnym obrazem wypadków, przyczyn i okoliczności, które na wzrost, zmiany lub upadek jego wpływ swój wywierają. W takie opisy ubodzy jesteśmy, i byłoby do życzenia, żeby przykład autora *Dawnej i teraźniejszej Łomży* szczerych i licznych znalazł naśladowców. Ale skreślenie takich opisów nie zajmie kilkudziesięciu wierszy, zapelnia tom cały, a niekiedy więcej może; takiego zatem rodzaju opisy miast niewłaściwe są w *Tygodniku*. Posiłkując się kilku faktami z historii lub podań, autorowie tych opisów dają nam krótki wyciąg z dziejów naszych, zakończony wzmianką o liczbie kościołów i spacerowych ogrodów. W takim zakresie jaki sobie *Tygodnik* obrał, opisy miast powinny przedstawiać treściwy obraz teraźniejszego ich stanu, przeważnego rodzaju pracy jaka zajmuje ich ludność, słowem statystykę i w krótkości charakter duchowy. W takim razie artykuły te dziś staną się ważnym materiałem dla geografji, w przyszłości zaś dla dziejów. Nie przeczę że *Tygodnik*, jako zajmujący się archeologją, powinien coś i o przeszłości wspomnieć, i byłoby to dobrém, gdyby autor opisu umiał go tak ułożyć, by wspominek z przeszłości był niejako dopełnieniem obrazu teraźniejszego stanu; ale zapelnienie prawie całego artykułu li tylko opisaniem *starć i pochodów*, zajmuje próżno miejsce i rzecz zaciemnia, zamiast rozjaśnienia. Gdzie ruiny tylko o dawnym bycie przemawiają, tam słuszną jest rzeczą przeszłość odkopywać; lecz dla kilku niezwiązanych wiadomości z ubiegłych czasów, pomijając to co mamy przed oczyma i co daleko lepiej oddać możemy, jest oczywistą sprzecznością i zбочeniem z właściwej drogi.\*

Prawda że już skończoną została polemika co do nauczycieli wiejskich, w której wiele wyszło z sobą niezgodnych projektów; jednak słów tu parę rzec sobie pozwolę. Pośród trudnych do urzeczywistnienia marzeń, opuszczono kwestją prawdą materyalną, ale najważniejszą, kwestją *kto ma płacić nauczycielowi?* Bądźcie przekonani, że na równi zkrajem całym uznaję potrzebę oświaty ludu; ale odpowiedźcie proszę na to pytanie. Dziedzicowi w dzisiejszym stanie rolniczej stagnacji, trudno szarpać się na owe 1200 złp.; a czyż gromada, licząca 12 a niekiedy i mniej gospodarzy, złoży połowę chociaż rzezonęj summy? Możeby zawiązane w tym celu towarzystwo prędzej podołać temu mogło; dlatego upraszam ludzi którzy się tęp szczerze zajmują, aby rzecz tę wzięli pod rozwagę, bo ona niemaléj jest wagi. U nas w niejednym miejscu dziedzic należą karną podwyżkę pańszczyznanego skupu, rozkazał włóścianom złożyć na fundusz szkoły. Piękny to zapewne czyn, godny pokla-

(\* Zwracamy na to uwagę szanownego korespondenta, że właśnie w piśmie charakteru przeważnie beletrystycznego, opisy miast statystyczne najmniej może być w swém miejscu. Nierównie więcej zajęcia obudza strona dziejowa; obecnego zaś stanu dotykamy zwykle tylko w kilku rysach charakterystycznych. (Przyp. redak.)

sku i naśladowania, ale jako zasiłek jednorazowy, bo upadający za *stałym oczynszowaniem*, potrzeby nie pokrywa i na pytanie wcale nie odpowiada.

H. W.

## S O B Ó T K A.

(GÓRA NA SZŁĄSKU.)

Były czasy, kiedy miedze naszego języka i ludu od strony zachodu daleko—daleko sięgały po za dzisiejsze granice. Nie wspominając już owych różnoimiennych plemion słowiańskich, niegdys dzisiejsze Niemcy aż po góry turyngskie i Harcu zamieszkujących, a z nami bliżkiem pokrewieństwem języka i obyczaju połączonych, dwie wielkie krainy: Pomorze i Szląsk, dość długo pod panowaniem Piastów jedno z nami składały ciało... Dzisiaj Pomorze, z wyjątkiem zaledwie dojrzyć się dającej garstki Kaszubów, a Szląsk we dwu-trzecich częściach, są czysto niemieckimi, nic nas już obchodzić niemogącemi prowincjami... Dla badacza przecież ojczystych dziejów i starożytności, dla każdego, kto pragnie zwiadać i uczyć plemienne nasze pamiątki, obie te prowincje są dotąd i zostaną na zawsze nieocenionym pamiątek takich skarbcem. Tu to znajdują się najliczniej najstarożytniejsze świątynie, szcudrobliwością książąt naszych w pierwszych po nawróceniu wzniesione wiekach, mnóstwo dawnych warowni i grodów, częścią w ruinie, częścią cało dotąd stojących, w czasach gdy Szląsk polskim był jeszcze, lub później przez Piastów udzielnych podźwignionych, niezliczone mogiły i mogilniki pogańskich przodków naszych, uroczyska, gaje i góry, miejscami ich religijnych obrzędów i narodowych zborów niegdys będące... Jednym słowem, mnóstwo poezją przeszłości tchnących lub pouczających przedmiotów, którychby żaden wykształcony podróżnik polski obojętnie mijać nie powinien.

Jednym z takich pełnych uroku dla Polaka miejsc jest Sobótka, góra niezbyt głęboko w niemieckim Szląsku, bo zaledwie o pięć mil od Wrocławia położona. Ktokolwiek zwiadał to miasto, z bastyonów panujących nad jego okazałemi promenadami widział ją niewątpliwie, rysującą się w dni pogodne jako ciemna o dwu wierzchołkach piramida, na tle siniejących gdzieś za nią, jak zwisle na widnokręgu chmury, Sudetów. Jadącymi do Salzbrun koleją żelazną, która na wysokości stacyi Canth zaledwie o dwie mile od niej przechodzi, przedstawia się wyraźniej jeszcze, jako podłużne pasmo wzgórz, o dwu nierównych szczytach, ciemnym lasem pokryte od stóp aż do najwyższego wierzchołka, na którego nagim grzbiecie bieleją w blasku słońca wyniosłe mury kościoła. Ogromny ten kopiec, którego wzniesienie nad poziom miasta Wrocławia do 1700 stóp, a nad poziom bałtyckiego morza 2169 stóp wynosi, leży całkiem samotnie, rzucony wśród równiny, niby straż przednia poczynającego się o kilka mil dalej nieprzejrzanego wojska gór, co, pomimo skromnych jego w porównaniu do innych wyżyn rozmiarów, nadaje mu dziwnie wspaniałą i imponującą powierzchowność.

Pierwsi rzeczy szląskich pisarze rozliczne Sobótkę nadawali nazwy. Zwali ją bądź ze słowiańska: *Sabotka*, *Mons Sabothicus*, bądź z niemiecka: *Mons Zobtenis* lub *Zottensis*, bądź wreszcie tajemniczym mianem: *Mons Silenti* lub *Silensis*, to jest górą milczenia, nie troszcząc się jednak o wyjaśnienie nazw tych powodów. Zato podanie, z pokolenia na pokolenie przez tyle wieków się utrzymujące, zachowało nam wiadomość, że w pogańskich czasach góra ta słyła jako święte i cudowne miejsce, gdzie na obrzędy i ofiary gromadnie zewsząd schodzili się pielgrzymi. Jak podanie to powszechnie kiedyś być musiało, świadczy wymownie okoliczność, że nawet odmiana narodowości tutejszej części Szląska zatracić go nie zdołała; że od swych słowiańskich poprzedników przejęli je i zachowali Niemcy. Po dziś dzień nawet prosty niemiecki Szlązak nie bez czi pewnej spogląda ku wierzchołkowi Sobótki, a wyobraźnia jego widzi ją zawsze olśnioną jeszcze dziwów blaskiem. Pomimo wielokrotnych, zupełnie daremnych górniczych poszukiwań, wierzy on, że w głębi jęj niezmierzone spoczywają bogactwa, że w płynących z niej potokach i strumieniach szczęśliwi znajdują nieraz bryłki złota, srebra i drogic kamienie, że wreszcie w różnych miejscach góry istnieją tajemnicze, zakłete groby, napełnione skarbami, lecz które tylko w pewnych roku chwilach otwierają się dla ludzkiego oka.

Dawniejsi badacze niemieccy, równie jak współcześni im nasi, wszystko do nabytych w szkole wyo-

brażeń odnoszący, zbliżając żywe podania z przekazaniami starożytnymi nazwami góry, rozmaite o dawniejszym przeznaczeniu jej tworzyli domysły. Podług jednych, łacińskie nazwanie, *Mons Silensis*, pochodzić miało od czi Sylena, której góra poświęconą była; podług innych słowiańskie *Sobótka* otrzymała od stojącej niegdyś na niej Jowisza Sabaziusa świątyni, i t. p. Najmniejsza przecież słowiańskich rzeczy umiejętność byłaby im od razu rzuciła lepsze światło na znaczenie tej ostatniej nazwy, a tém samém i na przeznaczenie samej góry.

Wiadomo że najstarożytniejszy z dotąd istniejących, bo wszystkim niemal ludom dawnego ładu wspólny, obrządek weselnych ogni, palonych w noc letniego przesilenia dnia z nocą, u ludu polskiego *Sobótka* nosi nazwę. Oczywiście jest, że podobna wspólność nazwiska pomiędzy odwieczną uroczystością, a świętą górą szlaską, przypadkową być nie może, lecz że owszem pomiędzy obojgiem najściślejszy zachodzić musiał związek. Jakiego związku ten mógł być rodzaju? ...na to pytanie wprawdzie tylko wyobraźnia domysłami odpowiedzieć zdoła; ale w kwestyach dotyczących owych wier dawnych, wcielona poezją zwykle będących, poetyczne rojenie wyobraźni łatwiej wynajduje prawdę, niż najściślejsze wywody. Być może iż w bardzo odległych wiekach, wśród całej przez lud polski zasiedlonej przestrzeni, na jednej tylko tej górze zapalano stosy *Sobótek*, zanim obrządek ten, z wielkiego i uroczystego, niejako rozdrobniony został paleciem ich w każdej sadybie... Może ze szczytu jej kiedyś dawano hasło obrządku na kraj cały, i za błysnięciem z niej świętego ognia, stos za stosem, coraz dalej, wybuchał w miarę rozszerzającej się łuny, aż po bałwany Bałtyku i zamierzchnie puszcze Mazowsza.. Co zaś przynajmniej zgola nie ulega wątpliwości, to że na niej święte *Sobótek* obchodzone być musiało ze szczególną uroczystością i znaczeniem. Patrząc na po dziś dzień trwającą pochopność ludu słowiańskiego do religijnych pielgrzymek, wystawić sobie możemy owe tłumy, które do ognisk czerwcowych zbiegały się na *Sobótkę*. Jeżeli zaś pomyślimy, że kapłani, dla utrzymania ludu w tém większej czi dla góry świętej, wzbraniaли na nią prócz jednej tej nocy dostępu, pojmiemy w jakim uolbrzymieniu i ucudownieniu jawiło mu się wtenczas wszystko na niej, przy purpurowym odbłasku pochodni i stosów smolnych. Czysta, która przez rok cały zalegać musiała lasy niezmiernie boki jej kryjące, gdzie żadna ciąc drzewa siekięra, żaden łowiec nie ważył się ścigać zwierza, dostatecznie nam objaśnić może nadaną *Sobótkę* łacińską nazwę *Góry mlecznia*.

Jak daleko sięgała sława *Sobótki*, jak cudowne między ludem krążyły o niej wyobrażenia, interesujące ślady zachowała nam po dziś dzień powieść gminna. Za chłopięcych jeszcze lat moich, kiedy o istnieniu szlaskiej góry anim wiedział, będąc namiętnym opowiadał gminnych słuchaczem, po kilka razy, w różnych okolicach Mazowsza, słyszałem baśń o jakiejś *Sobotniej górze*, osobliwie opowiadając dziwy, którą później z pamięci, najwierniej jednak tak co do treści, jak i wszelkich znaczących szczegółów, spisałem.

Baśń ta, nietylko z powodu zawartego w niej o samej górze podania zajmująca, ale z całego swego ustroju i ducha do najstarożytniejszych i najpiękniejszych utworów naszego ludu należąca, więcej niż jakakolwiek inna zasługuje na upowszechnienie w czytającym świecie, i dlatego w zupełności ją tutaj powtórzę.

#### Baśń o *Sobotniej-Górze*.

Pocziwa jedna staruszka, wdowa, miała trzech synów, których niezmiernie kochała. A był każdy z tych synów innego rzemiosła. Najstarszy był organistą przy parafialnym kościele, wielce mądrym i uczonym, że czytał na każdej księżce, z pisanego, i podobno że samby mógł kantyczki składać. Był przeto w wielkiej powadze u wsi całej, ba i u samego plebana. Drugi, średni, służywał wojskowo i był rycerz bardzo zacny; tułając się zaś po różnych krainach, napatrzył się i nasłuchał niemało takowych rzeczy, o których nikt dotąd doma jako żyw nie słyszał, i przeto także miał szacunek ludzki, jako rozumny a wojenny mąż. Najmłodszy brat był sobie po staremu chłopem, orząc ziemię w pocie czoła, jako ojciec jego przedtém, i wierząc, w szczerości ducha, wszystko co oni wierzyli, ani dbając na mądrość brata organisty, ani na nowiny żołnierza, dlatego też u obydwu w niewielkiej stał cenie i głupcem od nich zwan był. Wszyscy zaś trzej bracia, jako pocziwi synowie, płacili za miłość matce wzajemną serdeczną miłością, starając się dnia każdego, by radość i wszystko dobre było z nią w starości jej.

Aż oto dnia jednego stało się nieszczęście, że nieboga starowinę porwały w nocy boleści niezmiernie,

od których jęcząc pobudziła dzieci, że zbiegli się do jej łoża, wielce strapieni i trwożni, a co począć niewiedzący.

— Już no ja tutaj przy matce zostanę, i czuwać będę nad niemi, a wy jeno biecicie co żywo do *małdrój*, w lesie u stariej mogiły, by przysła chorą z pomocą, rzekł do braci organista.

Oni tedy, górą, dołem, biegli do stariej mogiły, do spustoszałej chaty, gdzie *małdra* mieszkała, i znalazłszy babę, wiedli w skok do wioski. Kiedy byli blisko domu, patrzą, aż - ci organista stoi przed wrotyma.

— A co? jak matce? spytali.

— O! już-ci lepiej być musi, bo przestali całkiem jęczyć, leżą cichutko w łożku, pewnie śpią.

Baba weszła do chałupy, stanęła około łoża, dotknęła ręki staruszki i rzekła, kiwając głową: „Iścież waszej matce lepiej, a nic nie boli już jej: bo oto cała skostniała, widać chwila już jak zmarła.“

Na te słowa w chałupie powstał lament niesłychany. Wszyscy trzej synowie zawodzili jęki, tłukąc głowami o ścianę i rękoma rwąc do krwi ciało tak okropnie, że aż baba, co jako żywa nigdy jeszcze żalu takiego w ludziach nie widziała, zlitowała się nad nimi.

— Ha! jeżeli tak straszny po matce wam żal, toć wiem jeden jeszcze sposób wrócić ją do życia; będącili tylko który chciał narazić własnego żywota? Pomóż jej może choćby kropla żywej wody, co za trzema rzekami, za trzema puszcami, bije na *Sobotniej górze*, z pod gadającego drzewa, na którym siedzi zaczarowany sokół. Zajść i nazad powrócić, stanie na to siedm dni czasu; ale wielu już chodziło, żaden zaś dotąd nie wrócił z tej drogi. Kto chce wnieść na wierzchołek góry, musi iść prosto przed siebie, bądź co bądź spotkałby na drodze albo za sobą posłyszał; broń Boże jeden krok w prawo, lub krok jeden w lewo zboczyć, albo spojrzeć po za siebie: w tej chwili wrośnie kamieniem do ziemi. A jest na owej górze pokus i strachów niemało, tak że nikt jeszcze, jako ona stoi, do wierzchu dojść nie potrafił. Chcieli z was który szczęścia poprobować? niechajże pójdzie przynieść ztamtąd wody, a matka wasza żywa będzie znów. Droga do góry za południem słońca.

Ledwie baba za drzwi wyszła, bracia dalej z sobą w radę. Każdy zarówno rad był iść w drogę naprzeciwko wszystkim strachom, byle wskrzesić zmarłą matkę; lecz średni brat się odezwał:

— Słyszeliście, moi bracia mili, że w tej podróży trzeba nielada odwagi: iścież tedy mnie ona przypada. Jać, com już nieraz zajrzał śmierci w oczy, pewno się czego nie zlekne, i choćby diabłu kroku dostoję. Dajcież mnie że tam pójde, a w tydzień oczekujcie powrotu mojego, z żywą wodą naszej matce.

I pożegnawszy braci, przypasał wielki miecz do boku swego, i puścił się w świat, idąc za południem słońca...

Minął dzień jeden, i drugi, i trzeci, wreszcie tydzień się ku końcowi miał. Bracia w domu pozostali wyglądają niecierpliwie; żołnierza znikąd ni widu ni slychu. Gdy tydzień z górą już minął, biegli do baby po radę, czemuż tak długo brat ich nie powraca.

— Daremnie go nie czekajcie, odpowię im mądra baba, już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na *Sobotniej górze*, kamieniem w ziemię wrosnięty.

Zafrasowali się okrutnie bracia, a powracając do domu, sporzyć się ze sobą wzięli, któremu teraz iść w drogę, po żywą wodę dla matki. Lecz organista rzecze z urąganiem:

— Co? ty? — ty głupecze! tybys miał tam wskórać, gdzie twój brat nie wskórał?... Lepziej tam głowy potrzeba, żeby się nie dać zwieść szatańskięj mocy. Jać to wiem dobry sposób na diabla pokusy; niech no tam tylko pójde ze święconą wodą, a zaklnę biesa po łacinie, zobaczysz czy mi podoła.

I wzięwszy na się kropielnicę z kościoła, w rękę kropidło, kantyczki za nadrę, ruszył za południem słońca...

Znów minął dzień, drugi, trzeci, — tydzień cały: brat młodszy próżno wypatrywał z chałupy za swoim najstarszym, ni go widu, ni go slychu. Biegł tedy znów do baby po radę, co znaczy że brat nie wraca?

— Daremnie za nim nie czekaj, odpowiedziała mu baba, już on więcej nie powróci. Stoi on teraz na *Sobotniej górze*, kamieniem w ziemię wrosnięty.

Zafrasował się syn wdowi bardzo nad brata wtórego utratą; ale niewiele myśląc, biegł co tchu do domu, i wzięwszy bułkę chleba do opałki, kosę sobie nastaliwszy, przewiesił je przez ramiona i poszedł ku południowi słońca.

Szedł jeden dzień, drugi, trzeci dzień; przez trzy rzeki się przeprowił, przez trzy wielkie przeszedł bory; na trzeci dzień, o zachodzie słońca, stanął pod So-

botnią górą. Stanąwszy, pojrzy: aż tu góra niezmierna, że wierzchu za chmurami nie widać, dźwiga się stromo ku niebu, a za nią ze wszech stron las czarny. Ogromne dęby, sosny, buki, jodły, — jakby jedno na drugim wyrastało, sterczy drzewo ponad drzewem, coraz wyżej, coraz wyżej. Pomiędzy niemi, na ziemi, gąszcz cierni, głogów i ziół jadowitych, rumowiska skał ogromnych, zielone całe od wilgotnych mechów, pośród nich żmij, padalców, gadów całe gniazda wiją się i syczą okropnie... Strach spojrzeć, cóż dopiero iść tam! a znikąd ścieżki ni drogi.

Wdowi syn podumał chwilę, wspomniął na matkę swą martwą i wzięwszy Boga na pomoc, począł się drapać ku górze. I darł się, coraz to dalej, nie dbając na ostre skały, co mu stopy kalęczyły, na gadzi- jadownicę, co mu nogi obwijaly, kąsając żądly bolesne, ani na zielska trujące, co mu szarpały ciało kolcami i do ust same się cisnęły obmierzłym, ślini- cym swym owocem. Niedaleko jeszcze uszedł, aliści jedną razą słyszy za sobą wołanie:

— Hej! hej! człowieku! a gdzie to idziecie? Zbłądziliście, nie tędy droga.

Już, już co się miał obejrzyć: szczęściem przypomniał sobie słowa *małdrój* baby, i nie dbając na owo wołanie, szedł prosto przed siebie. Za chwilę, po lewej ręce, zjawił się przy nim drugi podróżny, kuso z niemiecka ubrany.

— Dzień dobry, rzecze kusy, zdejmując grzecznie trzy- różny kapelusz, a dokąd to przyjacielu?

— Juści że nie gdzie, jeno na tę górę, odpowię syn wdowi.

— A czego to wam tam trzeba?

— Idę nabrać żywej wody.

— A no! to nam jedna droga, bo i ja także idę za tą wodą. Idźmyż razem ze sobą, będzie nam weselej.

— Jak sobie chcesz.

— Ale nie tą przecie drogą! Po co tu drzeć się i krwawić, kiedy, spojrz na lewo, wygodnie drogą iść można.

Wdowi syn spojrział na lewo, i w rzeczy samej zobaczył wygodny, gładki jak stół gościniec, lekko ślimakiem wijący się ku górze.

— No, chodźże na drogę! nalegał Niemczyk.

— Idź sobie sam, kiedy chcesz; ja pójde tak, jak zacząłem.

— Ależ pójdz bo!

— Mówię ci że nie pójde.

— To idźże sobie, głupecze, na złamanie karku! ...zagrzytnął z wściekłością Niemczyk, odskoczył w stronę i zniknął...

Wdowi syn piał się, jak począł, przed siebie, aż wtém posłysz za sobą nagle trzask i hałas niesłychany, szczekanie, wycie, jakby tysiąca zają psów i wilków, i szczwanie diabelskim głosem: huż go ha! huż-ha! hużha!... Coraz bliżej, coraz bliżej dogania go ujadanie straszliwej psiarni, już tuż za nim, już oto za nogi go chwyta... Tylko co się miał obrócić, kosą się od nich odegnąć, alić wspomniął sobie na rady *małdrój*, i zamiast po za siebie, dał przed się krok żywo. W tej chwili wrzask, trzask, szczwanie, szczekanie ucichło; tylko śmiech długi, rozgłosny z wichrem zaszumiał po lesie...

Jeszcze nie zdążył ochłodzić z przestrażchu, a oto już idzie strach nowy. Razem wśród ciemności nocnej, taki od wierzchu góry blask uderzy, jak gdyby słońce, co już dobrze zaszło, znów na jej szczytce wschodziło. Zdziwiony podniesie głowy, i widzi że las calutki, co na jego drodze stoi, płonie w jednym płomieniu, aż całe niebo goreje od łuny, jakby od słonecznych zórz. Im bardziej zbliżał się ku niemu, tém bardziej płomień rósł i buchał; gorąco, jeszcze zdaleka, poczęło go piec, a przed oczyma jego ogromne drzewa puszczą, jak rozpalone głównie w kominie, całe roziskrzone, padały z trzaskiem jedna na drugą, grodząc przed nim drogę.

Na ten widok okropny ogarnął go strach; lecz kiedy wspomniął na swą martwą matkę, zapomniał wszelkiej trwogi i rzucił się w bór ognisty. I choć w zarzewiu nogi do kolan mu grzęzły, dech gorąco zatykało, dym czarny oczy mu wyżerał, szedł na oślep po przed siebie; aż cały zziązany, poparzony, bez tchu prawie, przedarł się wreszcie za to piekło ogniste.

Wyszedłszy, spojrz przed siebie: aliści i wierzch już blisko! Ucieszył się tedy w sercu, że już celu niedaleko! Lecz gdy raz wtóry spojrz na górę, radość się rychło w kłopot i smutek zmieniła, kiedy zobaczył skałę, jako ściana prostą, sterczącą wśród drogi swojej. Dopiero gdy wejrzy raz trzeci, widzi, tuż u spodu skały czerni się ogromna jama, a u

wnijsia jej spi, chrapiac, straszny siedmioglowy smok... Wdowi syn z cicha podkradać się zaczął, chcąc we śnie groźny potwór zabić; ale smok, skoro ludzkie kroki posłyszał, zerwał się ze snu na nogi, zaryczał wszystkimi siedmioma paszczami, aż się wstrząsała góra cała, i kłapiąc strasznie zębami, ziejąc siarczyste płomienie, szedł przeciw niemu. On też, nie czekając, poskoczył na-

przeciw bestyi; siedm razy kosą świsnął, a co ciął, to padnie łeb smoczy, i krwią pluszcząc w dół się toczy... Kiedy ostatni łeb odpadł, wdowi syn wszedł w jamę smoczą. Smocza jama była straszna, ciemna aż czarno, siarczystego dymu pełna, a ciągnęła się tak długo, jakby końca nie miała. Biędnemu wędrowcowi język w ustach kołem stanął, przyschły do podniebienia od pragnienia i duszącego paru. Wtém, kiedy się na poły żywy ledwie wlecze, z boku, z rozpadliny skały, ujrzy jasność wpadającą i zaleci go woń cudna. Pojrzał ciekawie, i oto widzi ogromną jaskinię, jak gdyby kościół największy, a w niej ogród przecudowny, majową trawą pokryty, pełny róż i lilij wonnych. Na murawie drzewa różne, z rumianami owocami, chylą się ku srebrnej strudze... Zglodniałemu, spragnionemu, ślina do ust płynęła, więc co żywo, odwróciwszy oczy, szedł dalej, co sił starczyło.

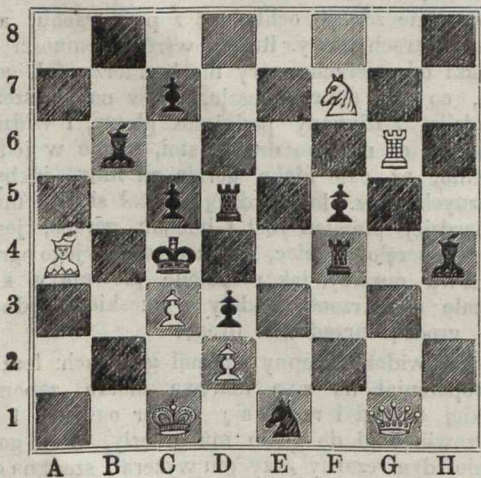
Aleć dalej znów z ściany skały jasność go uderzy,

## SZACHY.

### ZADANIE XCII.

(S. z Warszawy.)

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.  
Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 94.

- |                     |                   |
|---------------------|-------------------|
| 1) H3 — F3 †        | 1) H5 — F3 biorą. |
| 2) H6 — G6 biorą †  | 2) F6 — G6 biorą. |
| 3) H7 — H8 (koń) †  | 3) G6 — F6.       |
| 4) E4 — E5 † i mat. |                   |

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 148.

Czas płynie, miesiąc za miesiącem leci, a na nas czeka nowy rok bliski.

i przez wąską rozpadlinę widać niezmierną pieczarę. Złota lampa, na złotym łańcuchu, paliła się u sklepienia, a w okolo ścian stoja ćwierci, korce, kadzie całe, napelnione po wierzch srebrem, złotem, klejnotami najdroższymi. Ale wdowi syn nie był chciwy; ani się więc kusząc skarbami temi, przeszedł pomimo nich dalej.

Gdy upojony tym widokiem, obwodzi oczyma, posłysz nad sobą szum skrzydeł, i sokół złoty, ze złotym dzbanem w dziobie, z wysoka spadł mu na ramię. Drzewo o srebrnych liściach zaszumiło głośniej, a w śpiewie jego dały się słyszeć te słowa:

„Wezmij dzban ten chłopcze młody!

Naczerp z źródła żywej wody,  
Gałąz ze mnie [sobie złom,  
I powracaj [zdrow do dom.  
A gdy będziesz [do dom iść,  
W żywej wodzie maczaj liść,  
Kędy krokiem [stawisz nogę,  
Święć dokoła [sobie drogę.“

Posłuszny wezwaniu temu, syn wdowi wziął więc dzban złoty, naczerp w niego przezroczystej wody, ułamał sobie z śpiewającego drzewa gałąz o srebrzystych liściach i począł spuszczać się z góry. Jako mu zaś było powiedziano, co krok stąpił, stawając maczał gałąz w żywej wodzie i kropił nią dokoła siebie.

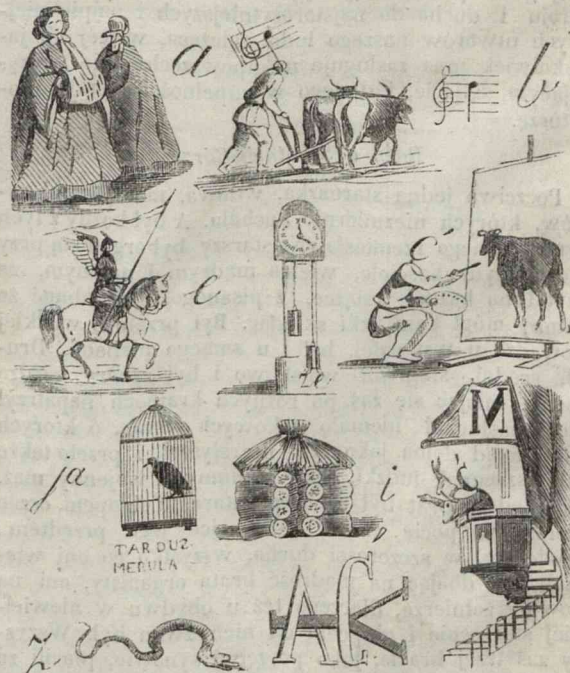
I oto stał się przed nim dziw niestychany! Gdzie tylko kropla wody u-

padła na kamień, z kamienia zaraz żywy stawał się człowiek, i radując się i błogosławiąc mu, szedł za nim... Im niżej spuszczał się tak święcąc, tém bardziej, za każdym krokiem, rosła óma ludzi z kamieni odklętych; a gdy stanąwszy u stóp góry, obejrzał się po za siebie, ujrzał idący tłum wielki, jako największe wojsko.

Byli to wszystko ludzie, którzy idąc różnemi czasy na Sobotnią górę, nie doszedłszy wierzchu, w kamień

(Ob. Dod.)

## REBUS.



Z powodu rebusa umieszczonego w Nrze 108 naszego Tygodnika, odebraliśmy od jednego z taskawych korespondentów rebusa powyższy. Odpowiedź na niego będzie w następnym numerze.

(Dodatek).